

Dubczuk Stanisława z domu Rusiecka, urodziłam się 15 VII 1932r  
w Swojczowie gm. Werba pow. Horochów woj. Wołyńskie.

Do 11 roku życia mieszkałam w tej wsi z rodzicami Julią i Józefem  
Rusiecki oraz siostrą Jadwigą, która miała wtedy 9 lat.

Ojciec mój zajmował się handlem, miał własny sklep z artykułami  
spożywczymi.

Pamiętny dzień w moim życiu to jest 11 lipca 1943r. Nad ranem obudził  
nas ogromny wybuch, słychać było, że we wsi coś się złego dzieje.  
Rano dowiedzieliśmy się, że kościół został podminowany i wysadzony  
w powietrze. We wsi powstała panika, ludzie zaczęli się wchodzić gdzie  
kto mógł. Moi rodzice schowali się do sąsiada ukraińca o nazwisku  
Dubiedczuk. Ja z siostrą i babcią, mieszkającą w tym czasie u nas, zosta-  
łyśmy ukryte przez ukraińcy swanego Iwanem. Syn tego ukraińcy 17-letni  
Wołodka posiadał 2000 polaków, ojciec natomiast kazał babci wejść na  
na piec i siedzieć tam cicho. Ja z siostrą miałymy wejść na strych, ale  
z ciekawości wyszłyśmy na szesę ponieważ z przeciwnej strony był nasz  
dom. Tą chwilę nam przed oczami do dziś, za domem rosła pszenica,  
gdzieś w odległości stu metrów za pszenicą siedzi nasz ojciec niedź.  
Miał narzucony na ramiona kołuch czerwony, zobaczył nas, przez chwilę  
patrzył, my na niego również, nie zdawałyśmy sobie sprawy, że to było  
ostatnie nasze z ojcem pożegnanie.

Tak później mama opowiadała, ojciec nie mógł sobie znaleźć miejsca,  
więc wstał i poszedł do drugiego sąsiada a za nim jego brat ciocieczny.  
Myśleli obaj, że się tam ukryją, ale sąsiad, którego nazwiska nie pamiętam  
kazał im podejrzewać obrączki, od ojcaabrał zegarek i parę piątek  
słotych. Wtedy ojciec przeczekał ostatnią swoją godzinę, zaczął go  
prosić, że przeciekajmy sąsiadzi to jak nasz sumienie ty nas zabijać, ale  
sąsiad powiedział "ja teraz dla was nie sąsiad" i rozstrzelał ich obu.  
Wszystko to opowiedział nam sąsiad który nas ukrywał. Ciocieczny brat  
mojego ojca zostawił pięcioro dzieci w wieku od 1,5 - 12 lat. Dzieci  
te przyszły do nas i gdy tak staliśmy razem, jedna z sąsiadek ukraińki  
idąc szosą powiedziała do nas, że wy tu chodzicie a nasze mamy dawno już  
są na cmentarzu. Teraz to bym zrozumiała tak, że już nie żyją, choć ona  
też to zapewne miała na myśli. My dzieci wówczas, zrozumielismy to inaczej  
jeśli mamy są na cmentarzu to dlaczego nie mieliśmy do nich pójść.  
Z całej grupki dzieci ja najlepiej znałam język ukraiński a reszta bardzo  
mało lub wcale. Powiedziałam im żeby się wcale nie odzywały gdy nas  
o coś będą pytać. Szliśmy polami, aby nie iść drogą do cmentarza było  
około 2 km. Pamiętam były dzieciątka z żyta na polu ustawione, ja miałam  
sukienkę z kieszeniami a w jednej obrazek Matki Boskiej Swojczowskiej.

jak dochodziliśmy do "dziesiątka" wkładaliśmy obruszek na przewrócone wszyscy klękaliśmy i modlili o to żeby nasze mamy zobaczyły. Niedaleko cmentarza był zagajnik, gdyśmy do niego dochodzili, że wsi około 600 m zobaczył nas jakiś ukraińiec jadący na koniu. Fuścił parę serii z karabinu nasygnowego w naszym kierunku, gwisdały kule wokół nas, szybko skryliśmy się w lasku, wszyscy byliśmy cali i wtedy doszliśmy do cmentarza. Na cmentarzu zobaczyliśmy okropny widok, ludzie leżeli posabijani, groby były rozkopane aby posakopywać zabitych. Wtedy powiedziałam do wszystkich, że nienawy się czego bać, jak nas zabiją to trudno nie na to nie poradzimy i że idziemy prosto szosą do domu. Przeszliśmy około pół kilometra, gdy doszliśmy do wioski kuzynka o imieniu Zosia powiedziała mi, że tutaj mieszka jej babcia i że do niej wstąpimy. Babcia jak naszą grupkę zobaczyła bardzo się przestraszyła i zaczęła płakać, pocośmy przysiali, że nasi się pochowali a jej to wszystko jedno. Poprosiłam ją o wodę ponieważ mój ojciec miał dzieci chore na tyfus. Kazała nam się schować w fasolę tychkową za którą były druty i mieszkał Pop. W tym czasie gdy myśmy się chowali do tej fasoli, na podwórku wjechało czterech Ukraińców na koniach i zaczęli wykrzykiwać, że nas znajdują "te Polskie bachory", jedźdali jak szaleni. Babcia poklezyła się od nas w odległości dwóch metrów za małą górką ale myśmy ją widzieli całą. Jak Ukraińiec stanął na koniu przed nią i parę razy do niej strzelił to myśmy widzieli jak jej ciało porzucało do góry. Gdy się ciało przestało ruszać, pomyślałam, że to samo może zrobić i z nami. Trzeba było uciekać do Popa a droga była jedna przez kapustę i niedaleko babci, która już się nie ruszała, ale ukraińiec na koniu jessese nad nią stał. Było nas siedmiore i wszystkie musiałyśmy przejść przez kapustę, aby dostać się do ogrodu sdrutu. Naprawdę to Matka Boska do którejśmy się modlili po drodze pomogła nam przejść. Pamiętam jak Ukraińiec patrzył w górę, w dół, na boki a nas jakby wogóle nie widział. Podniosłam drut do góry i wszyscy kolejno przechodzili a ja na końcu. Powiedziałam młodszym dzieciom, żeby się nie odsywały. Pop jak zobaczył siedmiore dzieci zaczął pytać skąd my się u niego wzięli. Powiedziałam, że ja z siostrą jestem córką Iwana a pozostałe dzieci są jakiegoś tam Stepana, poprostu musiałam udawać, że jesteśmy dziećmi ukraińskimi. Żeby Popa w tym bardziej utwierdzić wzięłam jego dziecko na ręce i zaczęłam śpiewać po ukraińsku. Pop miał chlewak dla świni blisko cerkwi a mieszkał z drugiej strony wsi i dwa razy dziennie woził im jedzenie. Wtedy właśnie też jechał, poprosiłam go żeby nas zawiózł do domu. Pamiętam kiedy nas wiozł na szanie stali czwórkami ukraińcy, już po rzeki a na czele oddziału był nasz szeryf o nazwisku Szuba, patrzył na nas bardzo długo ale nie nic mówił. Zeszliśmy z wozu w oznaczonym

miejscu, spotkaliśmy naszą babcię, która powiedziała, że tato został zabity a sąsiad opowiadał w jaki sposób. Ja zaczęłam płakać, że tata już nie ma, że my teraz zrobimy, na dworzec spadał smrok. Babcia powiedziała, że mama jest u tego samego ukraińca o nazwisku Dubieńczuk Chleb, nasywali go Lubono. Gdyby tato nie odchodził od mamy to może by żył, ale chyba takie jego było przeznaczenie. Po pewnym czasie przyszła nasza mama, widziałam, że była ledwo żywa, że się chwiała na nogach, powiedziała, że nigdzie nie pojedzie niech i ją zabiją, bo jak ona będzie żyła bez taty. Babcia była trochę lepiej opanowana i zaczęła mnie tłumaczyć, że na d. leci i musi dla nich żyć, że nie ma już na to rady. Roziło się ciemno trzeba było pod osłoną nocy dostać się do Włodzimierza a było to 18 km drogi. Ukrainka dała nam bułkę chleba i kawałek słoniny, mama zawinęła w taki tobołek, przersuciła przez plecy a przez rękę zawiązała z przodu aby mieć ręce wolne do prowadzenia nas. Tak jak staliśmy w jednych sukienkach zaczęliśmy w nocy iść przez pola, rowy, krzaki na przemian się przeczucując. Najgorzej było gładymna łące weszły w bagno, ciągle nam się zapadały nogi. Największy kłopot był z babcią, która była trochę przy tussy i nie mogła wyjąć nóg. Mama nie mogła się zbliżyć bo się też zapadała, tak, że my z siostrą, bo byliśmy lekkie, wzięliśmy się za ręce i krok po kroku, wyszliśmy z tych bagien. Najgorzszą była pierwsza noc, dookoła gdzie tylko spojrzeć widać było ogień, na niebie czerwone żuny, widek był przeświecający. Gdy zaczęło świtać schowaliśmy się na łące w krzaki żeby przeczekać dzień. Wiosernem znowu wyszliśmy aby powoli iść w kierunku Włodzimierza omijając przy tym wioski ukraińskie. Znowu zastał nas świt i tu babcia stwierdziła, że do Włodzimierza jest ze osiem kilometrów. Doszliśmy do opustoszałej wioski ukraińskiej, mama zauważyła, że na pagórku pasły się dwa konie i leży dwóch ukraińców na grawie. Widocznie byli na straży, poichutku ominęliśmy wieśkę i weszliśmy do lasu świerkowego. Po wyjściu z lasu i przejściu około jednego km znalazliśmy się na przedmieściu Włodzimierza. Tu było pełne ludzi, jedni z wagami i końmi, drudzy z pakunkami, tobołkami na plecach, pali ogniska, coś gotowali. Zaczęliśmy się cieszyć, że dotarliśmy do ludzi. Można sobie wyobrazić dwie noce 18 km szliśmy w strachu i napięciu, byliśmy bardzo zmęczone. Mama zauważyła swoje trzy siostry, którym udało się uciec z innymi rodzinami i zaczęli wszyscy płakać opowiadając swoje przeżycia. Na drugi dzień poszliśmy do Włodzimierza i tam zamieszkały w jakimś żydowskim domu. Mama umiała czytać na maszynie to zarabiała na życie. W styczniu 1944r musieliśmy opuścić Włodzimierz i przejść na drugą stronę Bugu. Było zimno, Niemcy karmili konie i krowy ludzimi posabierali, tak że swoje

\* 4 \*

wosy ciągnęli rękami. W hrubieszanowskim w wiosce Rogalin dobrzy ludzie przyjeźli nas do siebie na parę miesięcy. Państwo Wieczorkowie mieli kuchnię małą i pokój był nie wykończony, więc przez parę dni spaliśmy na sieni, bo nie było podłogi, tylko pościeliliśmy słomę. Tak spało 17 osób, było to b. uciążliwe dla gospodyni, bo rano wstawała aby palić w kuchni i nam śniadanie gotować, dlatego przeniesiliśmy się ze spaniem do stodoły, a zima była wtedy ostra. Czasami po przebudzeniu trzeba było śnieg strzepywać z ubrań bo nawiało na nas śniegu. Z wiosną przyszły również choroby takie jak koklusz, odra.

W 1945r przeniesiliśmy się do Gdyszyna i tutaj zamieszkali w budynkach po ukraińskich.

Stanisława Sobonuk - Rusiecka

Gdyszyn

Stanisława Sobonuk  
z domu Rusiecka